

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ”	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ”
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie\$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie\$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azji 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azji 2.50
PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIEM NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.	

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 28.

Chicago, Ills., 7 Stycznia, 1886 r.

Rok III.

BOŻA OPIEKA POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Dziecko przybyło zapłakane, wylękłe, i zrazu mimo pieśczoć Hruzdziej wrywało się ciągle do matki... pytało o matkę... Co dziwniej, znać było i z mowy i z cery i z układu, że bardzo je delikatnie wychowano, nie jak na wieśniacze dziecię przystało. Tchnęło to oboje Hruzdów, a starego najbardziej, że szlachcic tak drapnął, nie mówiąc znowu, z kąd przyjechał i jak się nazywał. Czekano nań nazajutrz, ale nie przybył... To nic jeszcze... myślano, że go interes powstrzymał; ale nie było i dnia następnego i jak w wodę wpadł,

więcej go już nie widzieli, ani się o kuternogę dopytać nie mogli. Jawną tedy rzeczą było, że ktoś się dziecka chciał pozbyć, i fortelu zażywszy, tego, dał je do chaty... a sam zniknął. Z chłopca nic się dowiedzieć nie było podobna... plotło dziecko, iż go zrozumieć było trudno, Hruzda kłął i mruzczał, ale stara się cieszyła. Dziecka jej nie było komu odebrać, pokochała je niezmiernie... Zrazu nie łatwo je przyswoić przyszło, grymasiło, płakało, wydolikaczone bardzo jakoś zdawało się; lecz w tym wieku i wrażenia ścierają się łatwo i nawykn-

nia zapominają... Mały Janek przystał do przybranej matki w końcu jakby własne dziecko.

Z każdym dniem zwiększało się i przywiązanie jego do Hruzdziny i jej do sieroty. Wychowanie zresztą było takie, jak na wsi być może, żywym słowem i przykładem a karnością. Janek pojętny, roztropny, łagodny ale zarazem ducha wytrwałego, był zaprawdę osobliwszem dziecięciem. Gdy się cokolwiek rozwijać począł, takie okazywał błyski osobliwsze niespokojnego jakiegoś umysłu, iż go dla nich głupim Jankiem przewano. Głupi Janek nie umiał się jak inne dzieci zastósować ślepo do tego, co mu nakazywano, ale o każdej rzeczy po swojemu a nie-dorzecznie rozumował. Ksiądz i klecha uczyli go katechizmu... dzieciak ściśle co do litery wziął przepisy jego do serca... i świat sobie wedle nich' budował. A że w rzeczywistości wiele rzeczy nie bardzo się zgadza z przepisami ewangelii, tego mu wytłómaczyć nie było podobna, ażeby wyjątki były dozwolone i mogły być tolerowane. Dziecko przytem było ciekawe, jak mówią, pytało, dowiadywało się, pragnęło wiedzieć i uczyć się. Hruzda łajał i gniewał się, Hruzdzina wyrozumiałszą cichą umowę uczyniła z klechą, który uczył chłopca w wolnych godzinach tyle ile sam umiał. Nałapał więc ów wiejski żaczek wiadomości różnych, a z niemi bawił się często, jak kot z kłębkami nici, płacząc je na najosobliwszą krętaninę. Nie było mu można zresztą nic zarzucić oprócz tego dziwactwa i wybryków, pracował chętnie, cichy był i bardzo do przybranych rodziców przywiązany. Ale że ci się często o niego swarzyli, mimowolnie dowiedział się, że był sierotą, że o rodzicach jego żadnej nie mieli wiadomości, i w jaki sposób nieznamy kuter-noga narzucił go Hruzdom. Im chłopiec więcej rósł, tem stary surowiej się z nim obchodził, może dla tego, że mu owa głupota Janka, która jego rozum przechodziła, nie smakowała. — A zawsze on musi świdrować tym swoim głupim rozumem! — mówił Hruzda — a wiecznie mu pytać trzeba, po co? na co? Co tobie trutniu do tego? Ty rób jak drudzy, słuchaj starszych, na chleb zarabiaj, a nie mędruj!

Przeciwnie przybrana matka oczyma miłości poglądała na dziecko i po cichu mu pomagała, aby liźnął nauki. Nie szło to jednak dalek nad trochę czytania, nad pisanie krzywe i nie-

zgrabne i śpiew kościelny, do którego klecha go wprawił. Hruzda domyślał się tylko tego, bo się przed nim nie przyznawano do godzin u klechy spędzonych. Nie wiedzieć dla czego, im stara więcej się do dziecka przywiązywała, tem on je coraz mniej lubił a bardziej męczył i pracą nękał. Chłopak ten wyrósł do lat trzynastu, przewany przez przybranego ojca głupim Jankiem, i pod tem mieniem w całej wiosce znany. W ciągu lat dziesięciu Hruzda i w Krakowie i po jarmarkach dowiadywał się o kuternogę, ale nie wiedział nazwiska; jedynym znakiem, po którym o niego się dopytywał, była to kulawizna. A małoż po świecie kulawych? Zresztą żadnego takiego szlachcica nikt w okolicy nie znał. Na targu raz mignął mu człek podobny, ale tak się zwinął zręcznie, iż ociężały nieco Hruzda nie ujrzał go już więcej. Znikły więc wszelkie ślady pochodzenia dziecięcia, nad czem Hruzdzina przynajmniej nie ubolewała wcale; bolała tylko, iż mimo wszelkich jej i chłopca starań, gospodarz serca do niego nie miał. Oplakiwała to często pocichu.

Nazajutrz spodziewano się, iż chłopiec gdzieś wypłynie... ze dworu wyszły rozkazy, aby go natychmiast pojmać i dostawić... Janek się nie ukazał. Z południa Hruzdzina, która miała swoje zapasy grosza zebranego ze sprzedaży cebuli i jaj w mieście, powydobywała z węzłków, gdzie co było, i oznajmiła mężowi, iż musi pójść na drugi Prądnik, po jakieś motki. Stary na nią popatrzał, jakby się czegoś domyślał, ruszył ramionami i nie odpowiedział nic. Dodał tylko po chwili:

— No, a co z Jankiem się stało? co będzie, myślicie?

— Albo ja wiem? — odparła żona.

— A już ciż cobyście nie wiedzieli — rzekł stary — przecież wam był miły, a mówicie tak obojętnie, jakby to wam wszystko jedno, że w

wodę wpadł. To już nie może być. Ot, ja wam powiem, niech powraca, niech chłostę przyjmie, bo na nią zasłużył... i po wszystkim...

Hruzdina ruszyła głową, westchnęła.

— Co ja wiem, nic nie wiem! Chłopiec się bić pewnie dać nie zechce... pójdzie w świat.

— A no, ja mówię — dodał Hruzda — że szkoda by było, skóra mu nie zlezie, jak go różgami osmolą. Co to on lepszego od drugich? albo nas nie prażyli... i nic się nie stało. Pójdzie to na lajdaka, włóczęgę lub na zbója się wy kieruje.

— Cóż wy to mnie mówicie — odrzekła Hruzdina — albo ja to wiem, gdzie go szukać i mam go namawiać?

Chłop się rozśmiał.

— Myślicie — szepnął — że ja taki głupi? a dalipan, nie. Ta idźcie z Bogiem.

Hruzdina przyodziawszy się, a węzełków nabrawszy pod pozorem, że przedzie niesie, potoczyła się do kумы Malichowej. W chacie zastała tylko staruszczkę jej matkę, wszyscy byli w polu. Stara na nią ode drzwi mrugnęła, aby do alkierza szła. Tam siedział Janek i płakał trochę. Zamknęły się drzwi, i przybrana matka długo siedziała z sierotą, a co radzili i uradzili, nikt nie wiedział i nie słyszał. Naza jutrz przyszedł klecha na Prądnik, znowu szepotali, kartkę przyniósł jakąś i z południa Janek pożegnawszy Malichowę, wyszedł, nikt nie wiedział dokąd...

Przez całych dwa czy trzy dni czujność we wsi była niezmierna, żeby Janka pochwycić. Włodarz i karbowy po razy kilka wpadali do chaty i trzęśli ją aż do wyżek, szukając koniecznie zbiega... Sam pan napotkawszy Hruzdę, zagroził mu surowo, jeźliby dziecka nie wydał. Wszystko to nie pomogło. Janka nie było i nie było... gniew też powoli wolnieć zaczął, i zapomniano o nim potrosze. Hruzda tylko o niego się dopominał u żony, bo choć, póki był, znęcał się nad nim, gdy go nie stało, poczęło mu braknąć chłopca. Bez najemnika obyc się nie było podobna, w chacie zaczęło jakoś smutno bez dziecka wyglądać, i dopiero teraz stary się przekonał, że on wiele robił, choć go nie było widać. Nalegał więc na żonę, ta płakała, ale Janka nie wiedziała już kędy szukać.

— Co prawda to prawda — rzekła — wiem że uciekł, bo się nie chciał dać osiec niesprawiedliwie, ale żeby miał wiedzieć, gdzie teraz jest... to nie. Zresztą kocham ci go jak matka i chciałabym go tu mieć, ale on pono do naszego życia nie stworzony, czemu nie ma sobie po świecie szczęścia szukać?

Dość że głupi Janek znikł i wszyscy ci, co nań podszczuwali, teraz żalowali i tęsknili po chłopięciu; nawet panicz, któremu czuba natarł, gotów był swoją krzywdę przebaczyć... bo i jemu Janka brakło.

Janek wpadł jak w wodę. Domyślano się wprawdzie, iż najprędzej do blizkiego Krakowa powędrować musiał; a no w mieście takim międy mnóstwem żaków a młodzieży, ktoby go tam miał szukać.

W owe czasy Kraków był przepelniony ubogą młodzieżą, która w nim nauki a przez nią drogi do dalszego życia szukała. Szkoły otwarte dla wszelkiego stanu, choć świetności dawniej nie miały, bo już za Zygmunta Augusta na upadek ich narzekano, czegoś przecie nauczyć mogły. Nauka inaczej jak dziś się udzielała, inaczej nabywała, inaczej bo samodzielniej doprowadzała do wyższego wykształcenia. Dzisiaj metodycznie karmią ją instytucje tak urządzone, że gdy z nich wychodzi skończony młodzieniec, nie pozostaje mu już nic do czynienia, tylko tego, co nabył, używać. Szkoła dawniejsza, ułomna, niedostateczna, dawała początki, pojęcia pewne, wskazywała drogi, a człowiek o własnych siłach z tego coś na pożytek swój musiał wyciągać i z rozpierzchłych promyków a błysków światło otworzyć. Komu sił nie stało, aby samoistnie szedł, ten na pół drogi stanął i dalej już ani się postępować kusił. Fantastycznie czerpano naukę... a zaczerpniętą urabiał każdy wedle swojego smaku... Wyjawszy

nauki matematyczne, gdzie po linii iść i obliczać swe kroki musiano, w innych umysłach bujał swobodny, bo na doświadczeniach się nie opierając, fantazyi skrzydła przypiąwszy, mógł sił swoich spróbować... Wprawdzie OO. Jezuiti srodze ciekawość karcili i hamowali śmiazków... lecz umysł ludzki z więzów się tych nieustannie wyrwał... Akademia krakowska przed ostatnimi reformami, które je na nowe drogi pracy wprowadzić miały, wegetowała raczej niż żyła, lecz jak wszędzie w pośród uśpio-nych i zacofanych, jeśli nie było ludzi wyjątkowej energii ducha i jasnowidzenia, coby drogi nowe wskazać potrafili, znajdowali się tacy, co mieli przeczucie przyszłości i czuli że inaczej powinno być niżeli było w istocie.

Do tych to ludzi należał profesor fizyki ówczesnej, z której dziś tylko imię pozostało, ks. kan. Nereusz Hodowski... który uchodził pomiędzy swymi za nieznośnego przekorę, za umysł niespokojny, za człowieka orthodoxyi podejrzanej; chociaż w życiu prywatnem był łagodny jak baranek i nie miał tych wad, które utrudniają społeczne stosunki.

Znano tę figurę w wyszarzanej starej rewerendzie i zrudziałym kapeluszu, z jednym ramieniem niższem od drugiego, w całym Krakowie. Na ciele wychudłem i skrzywionem, głowa pochylona w dół, wyłysiała, siwa, z twarzą pomarszczoną i żółtą, z oczyma jakby wyblakłemi i patrzącemi gdzieś w inne światy, z ustami dziwnie sfałdowanemi tak, że ich uśmiech można było wzięść za skrzywienie, a grymas za uśmiech — stanowiły zabawną w istocie karykaturę, łatwą do odrysowania dla studentów najmniej nawet mających talentu. Obyczaj ks. Hodowskiego równie dziwne były jak postać. Miał on małą kamieniczkę przy Wiślniej ulicy, o trzech oknach, a nad nią mało co więcej. Na dole jej mieszkał szewc, który mu najczęściej butami za najem płacił, pierwsze piętro zajmował kupiec, Niemiec, który dopiero handel rozpoczynał i od niedawna się był osiedlił w Krakowie, drugie ks. kanonik dla siebie zostawił, a poddasze służyło za skład i schronienie ubogiego ucznia jednego lub dwóch, którzy księdzu posługiwali, i których on się losem zajmował. Stara kucharka milcząca gotowała jeść po spartańsku... razem dla Hodowskiego, dla siebie i dla żaków... Ks. profesor miał od ulicy dwa pokoje, a trzeci od dziedzińca, oprócz tego cie-

mny kąt na książki... i to mu starczyło. Sypialna izba znajdowała się od wnętrza domu, w dwu pierwszych była izba gościnna, rzadko kiedy otwierana, i pokój, w którym kanonik pracował. Ten właśnie był całym jego schronieniem, gdyż tu stary całe dni przepędzał, a często i dobrą część nocy. Tu nikomu wchodzić, ściierać, ani porządkować nie było wolno... a wychodząc choćby na krótko, kanonik starannie drzwi na klucz zamykał. Oprócz ogromnego stołu zarzuconego książkami, ściany całe zajmowały pułki pełne, a że i one pomieścić nie mogły foliantów i papierów, wiele ich spoczywało na ziemi wszędzie, tak tylko ułożonych, ażeby przejście pomiędzy nimi i ścieżki wolne zostały... Wszystko to odwieczny pył pokrywał. Wysiedziane krzesło staroświeckie jedynym było sprzętem, mającym tu prawo obywatelstwa. Izba gościnna wyglądała nieco przyzwoiciej ale i w tej uczonego czuć było. Kanapa, krzesła, stół, komoda, przynajmniej stuletnie... ubierały ją potroszę... Był pomiędzy oknami krucyfiks wielki, który mieszkanie duchownego zwiastował... zresztą na ścianach zamiast obrazów, porozwieszane były mapy, a okazy mineralogiczne, konchy i różne osobliwości natury ubierały pułki i zastępowały ozdoby i fraszki. Tu pod pewnymi warunkami przystęp gospodyni był dozwo- nionym i otarcie pyłu, w zasadzie przyjęte, ulegały wszakże w wykonaniu wyjątkom ze strony kanonika, który obawiał się uszkodzeń, i ze strony gospodyni, która nie miała wielkiej ochoty robić tego, za co jej nikt nigdy Bóg zapłać nie powiedział. Do tej też izby mało kto kiedy zaglądał. Sypialnia ascepty nie byłaby skromniejszą nad komnatkę dla spoczyнку ks. kanonika; łóżeczko w niej stało ciasniutkie, wązkie, mnisze; miska, dzban, lichtarz z umbrelką... Był i kłęcznik z brewiarzem... i stoliczek z innemi książkami, bez których Hodowski żyć nie mógł. Wszystko to skromne, ubogie, stare, biedne i liche, służyło od niepamiętnych czasów... i nigdy poczciwy profesor żadnej wygódki dla siebie nie uczuł potrzeby. Za to ostatni grosz gotów był podzielić z ubogim, szczególnie z studentem, gdy dostrzegł w którym umysł żywy i miłość pracy, a dar szczególny. Litościwym ci był i dla ubogich na duchu, bo serce miał dobre, ale zajmował się najchętniej losem tych, w których zdało mu się, że jeniusz odkrywał. U ubogiej młodzieży

kanonik był w poszanowaniu wielkiem, chociaż do zbytku jej nie pieścił. Surowy dla siebie, młodym to zalecał za prawidło, żeby rogom rosnąć nie dopuszczali, żeby ciało opanowywali, a pielęgnowali ducha. Dawał jeść, ale przy-smaczków nienawidził.

Człowiek to był z tego tylko, co o nim opowiadamy, znany, zresztą nikt się nie dopytał, co w jego duszy się działo, i krążyły o nim najrozmaitsze zdania. Mieli go jedni za uczonego bardzo i filozofa, drudzy za dziwaka i marzyciela, inni za pedanta, za mistyka jedni, za niedowiarka drudzy. Dowiedzioną było rzeczą,

że ktoś u niego dykcyonarz filozoficzny Voltaire'a ujrzał w sypialni; wiedzieli wszyscy, iż z katalogu prohibitorum obficie czerpał. Pewną też było rzeczą, że się czasem do łez roz-rzewniony modlił, a uczynkami miłości nauki Chrystusowej dowodził. Tymczasem w rozmo-wie trafiało mu się takim zdaniem bryznąć niekiedy i szyderstwem, jakby w nim sam naj-starszy szatan siedział. Gorszono się też jego sceptycyzmem, bo często gęsto wyrwał się z tem, iż człowiek nie wie z pewnością nic więcej nad to, iż nic nie wie...

(Dalszy ciąg nastąpi).



KAZIMIERZ I MAGDOSIA.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH SIEDMNASTEGO STULECIA

— PRZEZ —

MIECZYŚŁAWA Z POZNANIA.

(Ciąg dalszy.)

Król Polski pamiętając, że to idzie o wiarę Chrystusa Pana, puścił w niepamięć wszelkie krzywdy, jakie Polska od czasu Mieczysława ponosiła od Niemców, a czempredzej począł zbierać wojsko i ruszył na odsiecz Wiedniowi. Na tę wojnę jechał z królem szesnastoletni królewicz Jakób, a z nim i Kazimierz Trentul.

Oj! było wtedy gwaru i ruchu w Krakowie! Kto mógł, przypasywał karabelę do boku, i dalej na wroga! W mgnieniu oka zebrał Sobieski trzydzieści tysięcy wojska. W przeciągu czterech tygodni stanął o dwie mile od Wiednia,

choć podówczas nie było ani bitych dróg, ani dostatniej żywności dla wojska, a o kolei żelaznej to ani ludzie myśleli! Pomimo to w tak krótkim czasie przeszedł Sobieski Szlązk, Morawę i Arcyksięstwo Rakuskie.

Niedaleko Wiednia król Polski uszykował swoje wojsko, do którego się oddziały wojsk niemieckich przyłączyły, mianowicie oddział pod dowództwem księcia Lotaryngskiego i księcia Waldek.

Turcy zaś, gdy im doniesiono, że Polacy nadchodzą, ani w to chcieli uwierzyć, i nie mo-

gli pojąc, z kąd Polacy w tak krótkim czasie się wzięli. Dnia 11. września r. 1683 przekonali się o tem naocznie, przypuścili więc gwałtowny atak do miasta; lecz Wiedeńczycy, ośmieleni bliskością wojsk polskich, szturm odparli. Nazajutrz rano równo ze świtem wysłuchało wojsko polskie mszy świętej — czytał ją świątobliwy kapucyn, wysłany od papieża, aby Sobieskiemu i wojsku jego udzielił błogosławieństwa kościoła. Bo tak w ówczesnej wojnie, jak znów w ostatniem powstaniu papieże modlili się za Polską, błogosławiąc orężowi polskiemu; — tak samo było 1683 jak 1863 — jedna tylko jest różnica, że wtedy Polacy walczyli za wolność narodu niemieckiego, a teraz za własną wolność — wtedy przeciw Turkom, teraz przeciw Moskwie. —

Do mszy świętej służył sam Sobieski, gorąco się modląc do Pana Zastępów o pomoc dla oręża polskiego. Po mszy świętej przyjął Sobieski sakrament komunii świętej i błogosławieństwo papieża, podał miecz królewiczowi Jakóbowi i wyruszył do wojska.

Słońce już było wstało, obleczone krwistą czerwoną powłoką, jakby przepowiadając bitwę. Prędko uszykował król swoje wojska, i po krótkim spoczynku stanęli wszyscy gotowi do walki. Wkrótce rozpoczął się krwawy bój strzelaniem rozstawionych straży, po kilku strzałach ruszyły się zwarte szyki wojsk obu. Polscy husarze rzucili się na tłumy nieprzyjaciół z głośnym okrzykiem: „Jezus, Marya.” Młody królewicz Jakób walczył obok ojca, lecz rozgrzany walką, zapomniał o wszystkim innem, a ścigał wrogów — nie zważał, że się oddalił od boku ojcowskiego. Poznali w nim Turcy syna najgroźniejszego ze swych wrogów, otoczyli go więc, a ściskając coraz bardziej, chcieli zmusić do dobrowolnego poddania się. Lecz syn króla Polski nowemi ciosy odpowiadał napastnikom. Rozgniewani Turcy rzucili się na niego, a jeden podniósł ostry swój dzirynt i już, już miał spuścić broń morderczą na królewicza, gdy Kazimierz spostrzegł niebezpieczeństwo. Rzuca się na owego Turka i szablą swoją odbija cios śmiertelny. Powstała zwawa walka, królewicz i Kazimierz wręcz się ścinają z Turkami. Lecz wycieńczone długim bojem młode siły królewicza już ustają, a Kazimierz trzykroć ranny, ledwie włada karabelą, zdaje się, że lada chwilę ulegną przed naciskiem

wrogów. — W tem król dostrzega niebezpieczeństwo syna, zapomina o własnem, rzuca się z gołym mieczem i Turcy pierzchają. W kilka chwil później byłoby już zapóźno, gdyż ranny Kazimierz zaledwie trzymał się jeszcze na koniu, a królewicz nader był osłabionym.

Rannego Kazimierza kazał wdzięczny królewicz opatrzeć, sam zaś przy boku ojca walczył do końca bitwy, która dzięki cudownej łasce Pana Boga i odwadze wojska polskiego szczęśliwie się zakończyła. Tłumy wojsk tureckich, które miały zalać Europę, zburzyć Wiedeń, zniszczyć całe Niemcy, a przede wszystkim religię chrześcijańską, król Polski w jednym dniu zwyciężył.

Turcy pierzchali w największym popłochu, nie oglądając się ani na ładny Wiedeń, ani na własny obóz i nagromadzone w nim skarby. Wszystko to dostało się w ręce zwyciężkich wojsk polskich. Naprózno dumny Wezyr chciał wszystko to zniszczyć, by nic nie zostawić zwycięzcom — nie miał czasu, bo pilno mu było uciekać przed rycerzami polskimi.

Jan Sobieski tymczasem wjeżdżał do oswobodzonej stolicy. Tysiące ludu wysypało się na jego przyjęcie, każdy chciał oglądać swego zbawcę, każdy się cisnął, by się dotknąć szaty jego, a głośne „niech żyje nasz zbawca, niech żyje król Polski!” rozlegało się po całym Wiedniu.

Uniesienie mieszkańców było nieopowiedziane wielkie, bo widziano w Polakach swych oswobodzicieli. Z największą tedy uroczystością i czcią przyjmowano Sobieskiego i dzielne wojsko polskie. Król Polski wjechawszy do miasta, udał się najprzód do świątyni pańskiej. Przez całe nabożeństwo leżał krzyżem pogromca Turków, dziękując Bogu, że mu dozwolił obronić wiarę i kościół święty.

W kilka dni opuścił Sobieski Wiedeń, spiesząc do Węgier, by wypędzić wojska tureckie znajdujące się w tym kraju. Spotkanie się cesarza z Sobieskim jednak było dość obojętne, gdyż ceremoniał dworski nie dozwalał całej serdeczności. To też w kilka minut rozjechali się monarchowie. Sobieskiemu markotno ztąd było, pocieszał się tylko, że swem zwycięstwem obronił wiarę świętą od napływu barbarzyńców. I z tej przyczyny wyruszył dalej z wojskiem do zniszczonych Węgier, bo tam

byli jeszcze Turcy, a raz w imię wiary rozpoczęwszy wojnę, chciał ją Sobieski ukończyć. Jeszcze nie raz przyszło wojskom polskim ścierać się z Turkami, a w bitwie pod Parkanami we Węgrzech, o mało że sam Sobieski nie zginął. Gdy jednak i przyrzeczonej żywności nie dosyłano, sprykrzyły się wojsku polskiemu niewygody, jakie musiało znosić; wielu rozchorowało się na dobre, niejeden prawie że z głodu umarł — i tak ruszyli ku Polsce.

O wygodzie dla Kazimierza pamiętał ile mógł wdzięczny królewicz Jakób. Zaraz po bitwie wiedeńskiej kazał go zanieść do swego namiotu i jak z rodzonym obchodził się bratem. W przeciągu dwóch miesięcy wygoiły się rany do tyła, że mógł siedzieć na koniu, lecz rękę musiał nosić na temblaku. Król zaś wynagradzając odwagę Kazimierza, mianował go rotmistrzem. Był to niemały zaszczyt w tak młodym wieku dowodzić rotą dzielnego wojska, a nie mniejszy, że polski królewicz zaszczycał go swoją przyjaźnią. A gdy wojska polskie wstępowały po powrocie do ojczyzny, w mury Krakowa, jechał Kazimierz tuż obok królewicza.

Dzień wjazdu zwyciężkiego wojska i króla przypadł w wigilią Bożego Narodzenia roku 1683. Byłóż to uciechy w starym Krakowie! a gwaru, że się aż mury trzęsły, a od radośnych okrzyków tak się poruszało powietrze, że dzwony same dzwoniły. Było się zaś z czego radować, bo Turcy uciekali jak zmyci z Węgier a nawet wszyscy myśleli, że Jan Sobieski wyprze ich z Europy zupełnie.

Byłoby się to niezawodnie stało, gdyż dzielny Sobieski chciał się połączyć z wszystkimi królami chrześcijańskimi w Europie i dalej uderzyć na Turka, ale zazdrośni królowie innych mocarstw, obawiali się potęgi Polski, zazdrościli Sobieskiemu sławy, jaką pozyskał przez oswobodzenie Wiednia, i dla tego skończyło się na tem, że każdy monarcha przysłał do Polski posła z powinszowaniem królowi zwycięstwa — lecz wojska, któreby wspomogło Polaków, żaden nie przysłał. O własnych więc siłach kończył Sobieski raz rozpoczętą wojnę. Skutek pokazał, że to najlepiej na własne liczyć siły, a nie spuszczać się na żadne posiłki; pokazało się to i w ostatnich czasach.

Kazimierz tymczasem siedział w Krakowie, gdzie się ostatecznie z ran swych wyleczył,

i dopiero po kilku miesiącach, gdy ojczyzna zapotrzebowała jego ramienia, opuścił Kraków; udał się dokąd go wzywała powinność jako Polaka, to jest pod chorągiew wojska walczącego przeciw wrogom. Lecz niedługo walczył nasz Kazimierz, bo ranny w lewą nogę od kuli nieprzyjacielskiej, musiał wracać z wojny. Kilka tygodni przeleżał znów w jednym miasteczku, a skoro mu lepiej było, pojechał po raz pierwszy po powrocie z niewoli do wioski rodzinnej. Dotychczas bowiem albo był w szkołach, albo na wojnie, a gdy miał trochę czasu wolnego, jechał odwiedzić swą matkę kochaną, ucałować jej ręce — do wioski nie miał już czasu zjeżdżać. Owszem wydzierżawił ją był swemu dalekiemu krewnemu, i właśnie teraz kończył się kontrakt dzierżawy. Kazimierz tylekroć ranny, nie dziw że zapragnął pokoju — pojechał więc do wsi rodzinnej.

Było to w śród lata, na kilka godzin przed zachodem słońca gdy ujrzał wieżyczkę wiejskiego kościołka; serce mu mocniej zabiło, łza spadła z męskiej powieki na widok tyle lat niewidzianej wioski, w której przepędził pierwsze chwile młodości. Przy krzyżu, co stał wedle kopca granicznego, kazał stanąć woźnicy i klęknął przed wizerunkiem Chrystusa, gorącą modlitwą dziękując Panu nad Pany za wszelkie dobrodziejstwa odeń otrzymane. Na modlitwie przeszła mu godzina, i coraz niżej schodziło słońce, upał dzienny się rozchodził, a z łąk świeżo pociętych zalatywała woń kwiatów — pszczoły brzęcząc spieszyły na noc do ulów, i ludzie z pola wracali do domów, gdy Kazimierz po skończonej modlitwie wyjechał do wsi.

Ledwie zajechał przed dwór, już wszystkich chat mieszkańce wiedzieli o powrocie swego kochanego panicza. Mimo więc pory spóźnionej zarzucili na prędcie sukmany, i wszyscy razem poszli przed dwór. Na ich przedzie szedł stary Maciej, co to aż do Konstantynopola jechał szukać Kazimierza. Był tam i Mateusz Chudyk, i Wojciech Łozina z Magdosią i ów Frącek, słowem wszyscy byli. Skoro Kazimierz zobaczył kochanych wieśniaków, wyszedł na ganek, a wieśniacy zdjąwszy uprzejmie swe baranie czapki, bliżej podeszli, niosąc chleb i sól. Stary Maciej zaś w te odezwał się słowa:

— Witajże nasz miły, kochany paniczu.

Długie lata tęskniliśmy za tobą, szukaliśmy cię w Konstantynopolu, lecz jak paniczowi wiadomo, nadaremnie. Za pieniądze owe wykupiliśmy tylko innych biedaków, między temi żonę Wojciecha Łoziny a matkę Magdosi — dziś ona już w grobie. Nie może paniczowi podziękować, lecz my ci dziękujemy, oby Bóg paniczowi błogosławił, a panicz żył szczęśliwy, wesoły i zdrowy, a już nigdy nas nie opuścił.

— O ja zawsze między wami zostanę, lecz czemu się wam odwdzięczę za wasze dobre chęci, gdyście po mnie do Konstantynopola posłali? Nie wy mnie, lecz ja jakże wam moi najdrożsi podziękuję, że nie mogąc mnie, innych wykupiliście z niewoli?

To mówiąc, rzucił się na szyję Macieja, ścisnął i całował wszystkich wieśniaków serdecznie dziękując im za dobre chęci. A po chwili zapytał:

— A gdzie jest ta Magdosia, co razem ze mną była w niewoli?

Na te słowa zbliżyła się dorodna dziewczyna. Poznał natychmiast Kazimierz towarzyszkę niewoli, łzami zaszyły mu oczy, a ściskając jej rękę, dziękował za pamięć — bo to przecież Magdosia starała się o wolność dla panicza, ona swem opowiadaniem nakłoniła wieśniaków, że wysłali Mateusza i Macieja do Turcyi.

W końcu zaprosił Kazimierz wszystkich do pokoju na wspólną ucztę. Kazał wytoczyć dwie beczki piwa i miodu, usadowił wszystkich naokoło stołu, kazał podać wędlin, chleba, masła i sera, a gdy już sobie wszyscy podjedli, znaleźli się między wieśniakami dwaj parobcy, co grywali na skrzypcach, któryś przyniósł dudy i rozpoczęto taniec. Bawili się do samego rana, bo dnia następnego Kazimierz uwolnił wszystkich od pracy. Tak chociaż bez przygotowania zabawili się wybornie i wszystkiego było pod dostatkiem, nawet koło północy znalazła się ciepła mięsna wieczerza. Wódka tylko została nietkniętą ku wielkiej radości Kazimierza, bo wieśniacy tego siola raz się wyrzekłszy gorzałki, już jej nigdy nie pili, i dzisiaj chociaż to już górą lat dwieście od tego czasu minęło, nikt w tej wsi wódki do ust nie bierze.

Drugiego dnia rano, gdy już się mieli wieśniacy rozchodzić do domów, rzekł Kazimierz:

— Chciałbym was tak ukochać, jak wy mnie — chciałbym wam się odwdzięczyć za wszystkie wasze dobre chęci, i jako dowód mej miłości uwalniam was wszystkich od poddaństwa i pańszczyzny. Jak starszy brat będę was pilnował, dopomagał wam we wszystkim, pamiętał o waszych potrzebach, a ogrody które dotychczas uprawialiście, są waszą własnością.

— My na tyle łask nie zasłużyli paniczu, zawołali włościanie, myśmy tylko powinność naszą wypełnili, bo wiemy dobrze że naszych panów czcić, jako braci jednego rodu, a starszych rozumem kochać musimy, gdyż tylko przy wzajemnej miłości i zgodzie nam i pańom i naszej polskiej ojczyźnie dobrze się powodzić będzie.

— Słusznie mówicie, rzekł Kazimierz; bo tylko przy zgodzie, gdy się wszyscy Polacy, czy kto panem czy chłopem, czy księdzem czy mieszczaninem, czy łacinnikiem, czy rusinem, ukochamy i wzajemnie wspomozemy, możemy doczekać się szczęścia. To też dla tej miłości i zgody zwalniam was z obowiązków i poddaństwa.

Poczem uradowani wieśniacy spokojnie się rozeszli.

Dzień powrotu Kazimierza był szczęśliwym dla całej wioski — cieszyli się i wieśniacy i on sam. Podobnie szczęśliwymi były dalsze dni i lata, bo święta zgoda i wzajemna miłość panowała między dziedzicem a wieśniakami. Włościanie starali się o dobro pańskie, a Kazimierz o ich pomyślność. Założył szkołę, doglądał by się dzieci pilnie uczyły, a w całej wsi nie znalazłby ani jednego nałogowego pijaka. Wiedzieli wszyscy, że gorzałka to wymysł szatana, a zamiast do karczmy woleli się zejść czy to latem pod starą gruszę, co stała wśród wsi, czy też zimą do chaty którego z włościan lub też do dworu dziedzica i tam słuchać jak który głośno czytał jaką książkę, chociaż wtedy i książek nie było tyle co dzisiaj, i droższe były. Nie brakło i zabawy, przy sposobności potańcowały dziewczęta i parobcy i naśmiali się do syta, nacieszyli, ale bez wódki. Zaręczam wam, że lepiej się bawili niż gdziekolwiek; mieli zaś tę korzyść, że pieniędzy nikt nie marnował, a więc była zamożność i sińca nikt nie odebrał niepotrzebnie.

Niepostrzeżenie minęły dwa lata od powrotu Kazimierza do wioski dziedzicznej bez wszelkich wypadków, o których w opowiadaniu naszym należałoby się wspomnieć. Wszystko szło zwykłym biegiem; dopiero przy końcu drugiego roku, w czasie żniw zaszło coś tak ważnego, że to szczegółowo opowiedzieć trzeba.

Jak już nadmienilem, było to w czasie żniw, krótko przed zachodem słońca. Kazimierz wracał z pola ku domowi, a za nim gromada

wiejska, co dzień cały żęła złotą pszenicę. Tuż za Kazimierzem szły dziewczki — inną razą śpiewały wracając do domu niewinne piosnki, dzisiaj zaledwie cichy szept wyrwie się której; za nimi postępowali krzepcy parobkowie, a wreszcie starsi włościanie, gwarząc o zwykłych kłopotach domowych, bo te wszędzie i do najszczęśliwszego wkradną się siola.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



GAWĘDZIARZ.

TATARZY.

(Ciąg dalszy.)

W takim czasie, kiedy nikt nie był pewny jutra, kiedy zasypiał z obawą czy się nie obudzi w powrozach dziczy, kiedy przez sen marzył o Tatarach, to nie bardzo człek garnął się do pracy, bo ileż to razy widział bujne swoje łąny zboża, zdeptane kopytami koni, ile razy stodoły pełne, — w płomieniach; to też klęska za klęską spotykała lud nieszczęśliwy, niedostatek wyradzał głód powszechny, o jakim moi drodzy nie macie wyobrażenia, z głodu powstawały choroby znane pod nazwiskiem powietrza, które tysiące pochłaniało ofiar, nie było czem i komu pracować.

Za miastem Berszadą, które leży niedaleko Czarnego morza, bo wiedzcie moi ludzie, że aż tam były Polski granice, spoczywało na wzgórzu nie wielkie wojsko Polaków, składające się ledwie z kilku tysięcy, a na przeciw niego z trzech stron go opasując, jak okiem tylko zasięgnąć

zdołasz, bielą się namioty tureckie, a namiotów tych takie mnóstwo, taka nieprzeliczona liczba uwija się pomiędzy nimi koni, wielbłądów, takie émy roją się ludu zbrojnego, że widocznie znać, że czapkami zarzuciliby obóz Polaków, a wojskiem tym dowodzi Skinder-Baśza.

Na prawo na podniesionem cokolwiek miejscu, stoją cztery ogromne słonie, dźwigając na barkach swoich wieże olbrzymie, pomiędzy nimi rozwieszony jest czerwony namiot przytkany złotem, Skinder-Bassy — na wierzchu połyska złoty pół księżyc — czarne niewolniki w turbanach na głowie, z dobytymi pałaszami stoją przy drzwiach na straży, gotowi na jedno skinienie swojego pana, te ostre miecze utopić we własnych piersiach, w piersiach swojego ojca lub dziecka.

Tu na wpół dziki Tatarzyn doi kobyle mleko w naczynie zrobione ze świeżej skóry obdartej konia, ażeby pożywać go jako największy specyał przy ognisku namiotu; — tu drugi wyjął z pod kulbaki, na której cały dzień siedział jeżdżąc, kawał surowego mięsa, posypał je tro-

chę solą — albo potarł prochem i żarłocznie zajada, a krew ciecze mu po twarzy i piersiach, a kości rzuca niewolnikom drżącym od zimna i głodu, na oczy spada mu ogromna czapka barania, a ostry kinżał wisi przy boku, na nim jeszcze nie zaschła krew chrześcijańska, on do-
bywa go, nie stara się nawet obetrzeć i kraje nim kawaly mięsa, które pożera z chciwością.

Tam dalej dla jakiegoś z ich starszyny — pieką całego barana w skórce, w dole wykładanym kamieniami, rozgrzanemi do czerwoności — a dla samego Skinder-Baszy, młodźutkie źrebię niosą na złotym półmisku, obsypane ryżem i ulubiony ich napój kumys.

Ogromne łuki wiszą u każdego przez plecy, a ostre strzały z żelaznem okuciem, których końce napojone są jadem jaszczurki, albo żmii brzęczą w kołczanach.

Widzą to wszystko waleczni Polacy ze swego obozu, przygląda się temu stary ich wódz Żółkiewski i marszczy lica, a na twarz zachodzą mu chmury, raz po raz pociąga siwą brodę, jak gdyby ją wyrwać pragnął; widzi że walka jest niepodobna, że tu jest może stu na jednego Polaka; a jednakże on nie ustąpi z placu sromotnie, chociaż jeszcze za sobą wolną ma drogę i rycerstwo jego nie drży — chociaż śmierć pewną przeczuwa.

Zna jednak Żółkiewski, że chociaż zginie ze swojemi, nie potrfi powstrzymać dzikiej hordy, która jak szarańca po trupach walecznych żołnierzy, wyroi się na Polskę. Czuje, że jeżeli stoczy bitwę tysiące matek okryje żałobą, tysiączce dusz Chrześcijańskich straci ze świata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



O J C I E C K A P U C Y N

— CZYLI —

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

Archaniół zaś, będąc przyzwyczajonym do panowania nad sobą a nie pojmując owego wykrzyku: „Bracie”, rzekł spokojnie i z miłym wejrzeniem:

— Łaskawy Panie, jeżeli Wam mogę być w czemkolwiek użyteczny, rozkażcie, a chcę

Wam służyć we wszystkim, co tylko przykazanie Bożkie i posłuszeństwo względem przełożonych uczynić dozwoli.

— Jam jest Waszym bratem! — zawołał Edward na nowo.

Proszę, mówcie jaśniej! — rzekł Archaniół.

— Nie obawiajcie mi się zawierzyć zupełnie!

— Na to odpowiedział Edward:

— Jam jest Twym bratem. Czas już, abym wszystko wyznał przed Tobą. Hrabina Lesley jest naszą wspólną matką!

Tu Archaniół, nie mogąc pokryć swego zadziwienia, prosił z niespokojnością o wytłumaczenie tej tajemnicy.

Uspokoiwszy się nieco po tak wielkiem duszy swej wzruszeniu, zaczął Edward dalej w te słowa:

— W kilka lat po Twym wyjeździe do Francji poszła hrabini Lesley za Barona Torey, mego ojca. Od dzieciennych lat przypominam sobie częste jej rozmawianie o synie swoim po pierwszym mężu. O, ciężko ubolewała nad Twojem oddaleniem. Później, gdy się mój rozum lepiej rozwinął, pojąłem cierpienie tak dobrej matki daleko dokładniej. Usiłowałem cieszyć ją nadzieją, iż tenże jej syn tak opłakiwany wreszcie do domu rodzicielskiego powróci. Lecz wszystko na próżno. Pewną razą powiedziała mi, że jedyny potomek domu Lesley wyprysnął się wiary swej ojczyściej, wiary swoich przodków. Co dzień byłem świadkiem jej ubolewań. A lubo jej w tem ulżyć chciałem, przecię nie mogłem zagoić rany, która tak głęboko zadana była. Na domiar większego zmartwienia dowiedziała się baronowa Torey od powracających z zagranicy ziomków, że syn jej Grzegorz kapucynem został. Nie chcę ja Ci opisywać rozpacz, w którą ją ta wiadomość wtrąciła. Muszę tylko powiedzieć, iż się sam o jej życie lękałem.

— Edwardzie! — rzekła do mnie głosem urywkowym. — Edwardzie mój najdroższy synu, wiem, że mię kochasz; nie opuścisz mię więc, jak to ten uczynił, którego obłąkanie się i strata tyle mi łez wyciska. Bądź mi tylko posłusznym! Oto pojedziesz do Włoch i wszystkich użyjesz środków dla przywrócenia mi syna, który zawsze jeszcze znajdzie miejsce w sercu matki, skoro przestanie być przyczyną hańby i rozpacz naszej.

Chcąc wolę tak dobrej matki pełnić i przyspieszyć powrót jej spokoju, puściłem się w drogę i tu aż przybyłem. Na jej to rozkaz musiałem się tak długo tajić przed Tobą, że bratem Twym jestem. Zostawiła bowiem mojej roztropności, wtedy Ci dopiero odkryć związek tak

blizkiego z sobą pokrewieństwa, kiedybym to już za rzecz potrzebną uważał.

— O wielki, dobrotliwy Boże! — zawołał Archaniół. — Dzięki Ci, o dzięki Ci stokrotnie, że ten młodzieniec bratem jest moim! Ach spraw, Ojczy miłosierny, niech nas później świętsze jeszcze związki łączą razem!

— Lubo inną wiarę wyznaję, — rzekł Edward, — zawsze jednak będę pamiętał o bracie, jakim Ty jesteś! Lecz z jakąż pociechą mam stanąć przed wspólną naszą matką?

— Ukryta jest przyszłość przed oczyma ludzkimi. Bogu tylko wiadome są tajemnice, które przyszłość w swem ciemnym łonie zawiera. Dostyc jedynej chwili a już inne myśli w naszej głowie. Zobaczmy się jeszcze, kochany bracie, i mam słodką nadzieję, że za wstawieniem się Królowej Nieba, Jezus Chrystus, Syn jej Najmilejszy, połączy nas jeszcze związkiem ściślejszym nad wszystkie węzły przyrodzenia.

Widząc Edward, że tu Archaniół chciał odejść, podał mu drugi list od matki swojej, który takiej był treści:

Najukochańszy Synu!

Edward, Baron Torey, jest Twoim bratem. Zawsze on zasługiwał na miłość moją. Naśladuj go w tem i przybywaj z nim w macierzyńskie moje objęcia! Wszystko Ci przebaczę, skoro porzucisz stan tak podły, w jakim teraz zostajesz, a który jest przyczyną wstydu i boleści

Twej matki,
Baronowej Torey.

Przeczytał to Archaniół bez najmniejszego oznaku wzruszenia i rzekł do Edwarda:

— Bądź mi zdrów, kochany Bracie! Idę ja się modlić za Ciebie i za matkę naszą. Jeżeli Bóg prośby moje przyjąć raczy, będziemy jeszcze wszyscy szczęśliwymi na wieki wieków. Dziś już z Tobą mówić nie mogę. Żegnaj Cię więc do jutra! Oby też Bóg litościwy zesłał promyk łaski swojej przenajświętszej na Ciebie! Wszak tego z całej duszy pragnę! Spokojnej ci nocy! Niech Cię Anioł-Stróż osłania skrzydłami swojemi!

ROZDZIAŁ SZOSTY.

Archaniół doniósł Ojcu Gwardyanowi, co

tylko był z ust Barona Torey usłyszał. Nie zamilczał także o własnym wzruszeniu w chwili, kiedy mu się jako brat był odkrył.

— Bracie Archaniele! — rzekł Gwardyan, — nie jesteście to szczególną wolą Bożką, że Baron Torey aż do tego tu ustronia Was szukać przybył?

— Bez wątpienia, Przewielebny Ojcze! O gdybyć się Bóg, który włada sercem człowieka, zmiłował nad nim równie, jak dawniej nademną! Wtedyby brat mój kochany niezawodnie uznał prawdę Wiary katolickiej. Ach, czegożbym Bogu nie ofiarował, gdyby mię i brata mego już żadna we wierze różnica nie przedzielała! Takim sposobem mógłby się i Edward wiecznej spodziewać szczęśliwości.

— I ja się chcę do tego szczerze przyczynić, — rzekł znowu Gwardyan. W tej mierze pójdę do młodego Barona i rozmówię się z nim otwarcie. Mam nadzieję, że to na dobre wyjdzie. Lecz poprzednio prosimy Dawcę wszech rzeczy o udzielenie nam łaski swojej do tak chwalebego dzieła. W tej myśli odprawię jutro mszę świętą. I Wy się módlcie, a szczególnie do Najświętszej Matki Bożkiej, aby się wstawiła za nami do Syna swego Jezusa Chrystusa, Zbawiciela naszego!

Tymczasem zajęty był Edward w samotnej swej celi rozmaitemi uczuciami. Jak na morzu bałwan za bałwanem huczy, jak bałwan bałwan popędza, podobnie działo się w duszy Edwarda: jedna myśl zbijała drugą, jedna myśl drugiej ustępowała. Cóż miał począć? Ach, jakże mógł powrócić do matki bez żadnej dla niej pociechy? O, cóż-to za niweczająca myśl dla tak czulego syna! Pograżył się więc na nowo w smutku głębokim. A mógłże tchnąć niechęcią przeciw bratu swemu albo mu też w czem niesłuszność przysądzić? Nie, bynajmniej! Lecz takim sposobem próżnoby się spodziewał, że Archaniół mury klasztorne opuści.

Ojciec Archaniół doznawał w życiu zakonnem najwyższej szczęśliwości, jaką tylko na ziemi osiągnąć można; czuł w sercu swoim rozkosz, którą i Edward przeczuwać zaczynał. Głośno napominała Barona jakaś moc cudowna do ubiegania się o równe szczęście. Jakże nędzną zdawała mu się ziemską wielkość w porównaniu z życiem ubogich kapucynów! A jednak gonią oniemiędzy wszyscy za szczęściem światowem. Edward zaś inaczej sądzić zaczynał. Jakby na-

gle z długich snów zbudzony, ujrzał on blask złocistego słońca, które mu swym miłym i dobroczynnym promieniem serce coraz bardziej rozgniewało. Wiara bowiem katolicka, którą mu od dzieciennych lat jako zdrożną i przewrotną opisywano a której matka jego nienawidziła: ta Wiara katolicka zaczęła go przekonywać o świętości kościoła Jezusowego. Taki to cud wywarły słowa Archaniola!

Właśnie w tym stanie umysłu znajdował się młody cudzoziemiec, kiedy wszedł do celi czcigodny przełożony klasztoru. Pełen najprawdziwszej szczeroty, przemówił starzec w te słowa:

— Szlachetny Panie! Z wielką radością dowiedziałem się, że Wasza matka jest oraz matką Brata naszego Archaniola. Macie więc przed sobą widoczny dowód woli Bożkiej, że wszyscy troje, chociaż do jednej należycie rodziny, przecię razem żyć nie mogliście z sobą. Mniejsza to prawdziwie rzecz, byleby Wam wolno było w niebie żyć z sobą, do czego niech Wam Bóg dopomoże!

— Przewielebny Ojcze! — odrzekł Edward, — jestem daleki od lekceważenia Waszej życzliwości, jednakowoż cieszyłbym się niewymownie, gdybym mógł brata mego Grzegorza pogodzić z tą, która nam życie dała, a która dzień i noc tego zjednoczenia się już tu na ziemi zbyt gorąco pragnie.

— Proszę mnie posłuchać, Baronie Torey! Jestem ja dostatecznie obeznany z światem. Wiele o tem z doświadczenia mówić umiem.

— Wszyscy tu żyjemy na podole trosk i płaczu. Najpotężniejsi monarchowie muszą częstokroć tak przykrych doznawać dolegliwości, że doli najbiedniejszemu z swych poddanych zardroszczą. Zostając w nieszczęściu, korzą się i światowładcy w obliczu Boga i proszą o udzielenie lżejszej korony, korony, która wiecznie jaśnieje a jaśniej światłem wiekuistej wspaniałości! Matka Wasza, wychowana w dostatkach i w blasku swego rodu i obfitując we wszystkie przyjemności życia, płacze i rozpacza, że syn jej Grzegorz wybrał sobie z uszczerbkiem hrabiowskiego pochodzenia stan tak upodlający. Lecz jakże nad nią trzeba ubolewać! Wszak wzrosłszy wyłączoną ze społeczności prawowiernych, żyje w błędach kacerstwa i chce jeszcze syna swego odwieść od najprawdziwszej Wiary!

— Bóg ją przecie może oświecić. Życzę ja jej tego z całej duszy. Radbym także widział, gdybyście tu, pomimo naszego ubóstwa i poniżenia, pozostali aż do powzięcia niektórych objaśnień, mogących być dla Was pożytecznymi na całe Wasze życie.

Pilnie słuchał Edward, co czcigodny, sędziwy kapłan mu prawił. Ta otwartość, ta moc, ta słodycz słów zakonnika rozczuliły serce młodzieńca.

— Przewielebny Ojczy! — rzekł po chwili namysłu Edward. — To święte zaparcie się samego siebie i ta poświęcająca się miłość chrześcijańska, co tutaj wszędzie górują, przygotowały mi już dawniej do tego, coście mi właśnie przedstawili. Natężę więc ucha mego, bylebyście mię dokładnie oświecić chcieli.

— Nie odemnie, — odpowiedział Gwardyan, — rozpędzenie ciemności zależy, która Wasz umysł od urodzenia ogarnia. Ten tylko, który jest światłością prawdy, może Wam spuścić w serce promień swej łaski. O, Bóg doda mi siły do rozniecenia w łonie Waszem przekonania o prawdziwości Kościoła katolickiego i nakłoni Was jakby cudem, że się błędów swej wiary wyprzysiężecie i wiernym prawdziwej Oblubienicy Chrystusowej aż do śmierci zostaniecie!

Z poważną żarliwością rozwinął tu bogobojny i uczony Gwardyan całą naukę religii Katolickiej. Zdawało się, że sam Duch Święty przez niego przemawia. Uległy wszystkie zarzuty młodzieńca, uległy na umysłowym polu tak chlubnej, tak świętej walki. Podobnie padają liście w jesieni, kiedy potężny powiew wiatru gałęziami wstrząśnie topoli. Taka była moc wymowy Ojca Gwardyana, takie było jego zwycięstwo.

ROZDZIAŁ SIODMY.

Właśnie rzucało słońce ostatnie swe promienie przez długie okna klasztoru. W tem wszedł Archaniół do celi Edwarda i rzekł do niego te słowa.

— Kochany Bracie, mówiłeś z Przewielebnym naszym Ojcem Gwardyanem. Zdaje mi się, że to Twoje serce słodyczą napełniło. Powiedz szczerze, wszak się nie mylę! Mówię ja do Ciebie otwarcie, mówię po bratersku! Bądź i Ty względem mnie otwarty i oraz przekonany o jedynem mojem życzeniu, aby Bóg był z Tobą i aby Cię swym pokojem obdarzył!

— Drogie Bracie, — odrzekł Edward, — nie chcę się tać przed Tobą. Wyznaję więc, że dusza moja ciągle walczyć musiała z nawalem nastęczających się a niepowolnych uczuć. O, ileż ucierpiało me serce przez natłok najsprzeczniejszych z sobą myśli! Opowiadanie wypadków Twego życia, odrodzenie się Twoje we Wierze: o jakież to potężny wpływ na mój umysł wywarło: A jeżeli jeszcze w tem lub owem zupełnej pewności nie miałem, to powątpienia zniweczył do szczętu gorliwy i czcigodny Ojciec Gwardyan. Takim sposobem zniknęła wszelka mgła z oczu moich. Teraz dopiero widzę światłość prawdziwej religii. Teraz to życzę sobie wstąpić w ślady Twoje i również przyjąć Wiarę tak zbawienną. Lecz i matka moja najdroższa wciąż mi staje w pamięci!

— Mój Bracie, — rzekł na to Archaniół z miłym uśmiechem, — bardzo to chwalebnie z Twej strony. Będiesz się więc za nią tem częściej i w modlitwie mógł modlić, aby ją także Duch Święty natchnąć raczył i jej prawdy Wiary katolickiej poznać pozwolił. O, jakże się swym przykładem do jej nawrócenia przyczynisz! I modlitwa Twoja będzie skuteczna, bo Ojciec miłosierny w Niebiesiech nie odrzuci od siebie błagań dzieci za swoich rodziców. Jako synowie jednej matki i jako wyznawcy jednej Wiary złączymy swe głosy i będziemy zebrali wspólnie Boga o nawrócenie się matki tak drogiej, tak serdecznie kochanej!

— Ach, nie dożyjemy tego! — zawołał Edward ze łzami w oczach. — Smutek ją za wcześniej w grób wtrąci!

— Wiesz, że Bóg jest wszechmocnym, — rzekł zakonnik. — Przytłum więc w sobie ponure myśli, niech nie odniosą nad Tobą zwycięstwa! Teraz myśl raczej o postępowaniu drogą, przez dobroć Bożką Tobie wskazaną. We wszystkim innem zdaj się z dziecinną ufnością na opatrność Boga swojego!

Jeszcze często rozmawiał Baron Torey o głównych prawdach Wiary katolickiej to z

Gwardyanem, to znowu z bratem swoim, aż przecię wreszcie przyszedł do uznania jedynej prawdy. Jednakowoż wahał się jeszcze swe błędy religijne uroczyście porzucić. Serce jego synowskie musiało jeszcze walczyć straszliwie; a trudne jest zwycięztwo nad uczuciami przyrodzenia. Ile razy o swej matce pomyślał, zawsze uczuł w sobie straszne oburzenie, którego gwałtowność piersi mu rozsadzała. Lubo był zupełnie przekonany, że Ojciec Niebieski większej żąda ofiary, niż, gdy się zrywa stosunki z istotami, do których nas choć i jak najświętsze powinności wiążą, jednakowoż ledwie miał siłę do przytłumienia w sobie głosu tak potężnego, jakim miłość i wdzięczność przemawiają. Lecz chwila stanowcza nadeszła. Wreszcie przecie musi zwyciężyć, rzecz dobra, rzecz święta! Jakby ręką Bożką pędzony, udał się pewnego razu Archaniół do Edwarda i prosił go, aby mu do ciasnej jego celi towarzyszył. Z pewnością świętą trwogą przestąpił Baron Torey progi tego przytułku. Ponure, tajemnicze światło dniowe przedzierało się przez okienko klasztorne. Wielki drewniany krzyż stał na stoliku zakonnika. Przed tym-to krucyfiksem klękał Archaniół do każdej modlitwy. Ten-to krucyfix popadł najwprzód Edwardowi w oczy. Skłonił się więc głęboko Baron Torey i stanął jak wryty przed wizerunkiem Chrystusowym. Zdawało się, że będąc w myślach pogrążony, o wszystkim w świecie zapomniał i że tylko był Zbawicielem zajęty. Wyczytał Archaniół z oczu brata swego, że mu się przypomniały niewypowiedziane boleści Jezusowe, poniesione jedynie dla odkupienia swych grzesznych dzieci od piekła, — boleści i śmierć Syna Bożego, który się modlił za swych nieprzyjaciół, za swych dręczycieli i zabójców. Nagle rzucił się zakonnik do nóg Baronowi i oblał je obfitemi łzami. To i siła potężna z Nieba dokończyły zwycięztwa prawdziwej Wiary, prawdziwej miłości. Edward podniósł brata swego, przycisnął go z całą gwałtownością do łona i rzekł z głębokiem westchnieniem:

— O, tak! uległem!! Czuję w sobie głos cudowny, którego słuchać muszę! Więc mój Jezu, zacznę postępować drogą, którą mi tak wyraźnie wskazałeś. Odtąd chcę należeć do Kościoła, który stoi niewzruszenie na opoce, na skale twardej, a jest jedynie prawdziwy, prawdziwy równie, jak Bożkie Twoje słowo!

Po potężnym tym swej woli wybuchu, nastąpiła uroczyista cisza, wśród której obaj bracia klękli przed ukrzyżowanym Zbawicielem.

Czoło Archaniola jaśniało radością. Wreszcie rzekł do Edwarda:

— Wstań teraz, kochany Bracie, i odechnij sobie w łasce Niebieskiego Pana! Tymczasem pospiesz do Przewielebnego Ojca Gwardyana i opowiem mu nowe to zwycięztwo, które wierny dusz naszych opiekun odniósł nad Tobą.

Tu go jeszcze raz uścisnął, odprowadził aż do celi i rzekł przy rozejściu się z widocznem rozrzewnieniem te słowa:

— O dobry mój Bracie! o drogi bracie Edwardzie! Od dziś jesteś już synem Jezusa. Módl się więc za Archaniola, który jest najniższym, najniegodniejszym sługą Boga Twojego!

Dowiedziawszy się Ojciec Gwardyan co między zakonnikiem a Baronem zaszło, pobiegł natychmiast do kaplicy klasztornej i złożył Bogu dziękczynienie za tak nieocenioną łaskę Jego. Nieco później postanowiono wspólnie, aby przyjęcie Wiary katolickiej już nazajutrz nastąpiło. Będąc Edward sam tylko z sobą, zaczął rozważać wypadki chwil niedawno co upłynionych. Jeszcze się serce jego lękało, jeszcze się przypominały mu słowa kochanej matki; lecz próżno, walka już była stoczona, uległo już obłąkanie a prawda odniosła radośne zwycięztwo! Mniej spokojną była dusza jego następującej nocy. Przerazający sen napelnił serce jego srogą boleścią. Zdawało mu się bowiem słyszeć w chwili wyrzekania się dawnej swojej wiary krzyk przeraźliwy, który, gdyby miecz ostry, łono jego przebódt. Równocześnie stanęła przed nim matka, ubrana w długie, żałobne szaty, z rozpuszczonemi włosami i z trupią na twarzy bladością! A kiedy właśnie miał wyrzec słowa najuroczystsze, czuł usta swoje zamknięte ręką jak lud, zimną. Była to niby prawica matki, która go drugą ręką z kościoła wyciągała. Jednakowoż się wzbraniał jej woli. Wreszcie ujrzał we śnie Baronową padającą ciężko na posadzkę. Westchnęła jakoś z głębokości duszy po trzy kroć i nawet niby skonała wśród murów znieawidzonego sobie kościoła! Wtem się przebudził Edward! Członki jego drżały, gdyby drobne listki osiki a zimny pot wystąpił na czole, gdyby krople na marmurze w posępnej kaplicy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORIA

STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

(Ciąg dalszy.)

PERYOD V.

(*Rozwój narodu.*)

ROZDZIAŁ I.

Administracya Washingtona (1789—1797.)

Skoro konstytucya została przez lud przyjęta, skierowały się oczy wszystkich na Washingtona, jako człowieka, któryby najlepiej umiał wypełnić obowiązki głównego urzędnika narodu. W dniu 6 kwietnia 1789 r. został jednogłośnie przez elektorów wybrany prezydent Stanów Zjednoczonych, wiceprezydent zaś John Adams. — Podróż Washingtona z Mount Vernon do New Yorku była podobną raczej do przejazdu tryumfalnego, jak do zwyczajnej podróży. Prawie wszędzie witał go lud wystrzałami z armat, biciem dzwonów, ucztami itp. Niewiasty, dziewice i dzieci witały go wszędzie wieńcami i bukietami. W dniu 23 kwietnia 1789 przybył do New Yorku i złożył przed kanclerzem Livingstonem przysięgę urzędową, poczem się udał do kościoła św. Pawła, aby uprosić u Pana nad panami błogosławieństwo dla nowego rządu.

Nigdy przedtem nie brali ludzie na siebie obowiązków z tak wielką odpowiedzialnością, jak właśnie Washington i jego współ-urzędnicy. Na pierwszej sesji kongresu zajęto się organizacją nowego rządu i wypracowaniem planów dla przyszłego dobrobytu rzeczy-pospolitej, a zwłaszcza ustanowieniem systemu publicznych dochodów, aby uregulować finanse krajowe, w nader złym

stanie się znajdujące. Za wnioskiem Madisona ustanowiono cło na okręty i taryf cłowy dla zagranicznych towarów. Następnie zajęto się wewnętrznym urządzeniem wydziałów władzy wykonawczej. Utworzono trzy oddziały: dla finansów, wojny i spraw zagranicznych; naczelników tychże nazwano *sekretarzami* a nie ministrami, jak w Europie. Mianuje ich prezydent, lecz tylko za uchwałą senatu. Tworzyli oni radę gabinetową, która w każdej chwili mogła z prezydentem obradować nad sprawami publicznymi i w razie potrzeby przesłać swe zdania piśmiennie nawet.

Następnie ustanowił kongres najwyższy sąd, składający się z sędziego najwyższego i pięciu sędziów pobocznych. Ustanowiono także sądy okręgowe i powiatowe. Każdy stan tworzył okręg jeden; także terytoryum Kentucky i Maine. Od sądów okręgowych można było apelować do sądu najwyższego w wszystkich sprawach tyczących się jakiegokolwiek prawa lub w sprawach cywilnych, w których chodziło o więcej jak \$2,000. Prezydent mianował także dla każdego okręgu marszałka mającego władzę szeryfa, który musiał być obecnym na terminach i wręczać zapowzy. Dla każdego okręgu zamianowano także prokuratora, który w sprawach tyczących się Stanów Zjednoczonych, te Stany zastępował. Sądownictwo to z małemi zmianami istnieje jeszcze po dziś dzień.

Po sześćo-miesięcznej sesji odroczył się kongres w dniu 29 września 1789, a Washington wybrawszy swój gabinet, udał się w podróż do stanów wschodnich i północnych, aby lepiej rozpoznać lud i jego zasoby.

W dniu 8 stycznia 1790 rozpoczęła się druga sesya pierwszego kongresu, na której za wnioskiem Hamiltona, sekretarza finansów, postanowił rząd

centralny wziąć na siebie wszystkie długi zaciągnięte podczas wojny — tak w kraju jak i u zagranicznych kapitalistów, w celu uwolnienia się z podjarzma angielskiego. Długi w Francyi, Holandyi i Hiszpanii wynosiły \$11,710,378, w kraju \$42,414,085. Po długich debatach przyjęto wniosek Hamiltona i uchwalono inne prawa dotyczące odplacania długów. Na tej sesyi uchwalono także, że po upływie dziesięciu lat okręg (district) Columbia miał się stać siedzibą rządu Stanów Zjednoczonych.

Na trzeciej sesyi kongresu w grudniu 1790 r. przyjęto do związku północną Carolinę i Rhode Island, (które poprzednio nie uznały konstytucyi), później stan Vermont (18 lutego 1791). Z powodu coraz bardziej się na zachodzie mnożących osad, utworzono nowe terytoryum (Tennessee).

Kwestya waluty narodowej zajmowała uwagę kongresu już dawno, a na początku ostatniej sesyi pierwszego kongresu założono bank narodowy. Kapitał bankowy Stanów Zjednoczonych wynosił wtenczas \$2,000,000, ulokowany w trzech bankach prywatnych: w Philadelphii, New Yorku i Bostonie. Czynność swą rozpoczął bank narodowy dopiero w kwietniu 1794 r. kapitałem \$10,000,000.

W r. 1792 przyjęto terażniejszy decimalny system pieniężny, tj. rozporządzono, że mają być bite w mennicach: centy, dziesięcio-centówki, dolary i orły (eagles). W tym samym roku przyjęto także terażniejszy system pocztowy; jeneralny pocztmistrz nie należał wtenczas jeszcze do gabinetu. (Zmiana ta nastąpiła dopiero w r. 1829).

Anglicy pomimo pokoju zawartego w r. 1783 buntowali wciąż jeszcze Indyan przeciw obywatelom Stanów Zjednoczonych, posiadali także jeszcze kilka warowni, które powinni byli oddać. W r. 1790 zbuntowali się Indianie za ich namową. Usiłowania załatwienia sprawy na drodze pokojowej były nadaremne. Wysłano więc generała Harmer na czele licznego oddziału, który miał zniszczyć ich wsie i plony; udało mu się to z początku, lecz w dwóch bitwach w pobliżu dzisiejszego Fort Wayne, Ind., (17 i 20 paźdz. 1790) został pobity. W roku następnym wysłano jen. Scott przeciwko plemieniu Wabash w Kentucky; drugą ekspedycją przeciw nim dowodził w lipcu jen. Wilkinson a trzecią we wrześniu generał St. Clair na czele 2000 ludzi. Ten atoli wpadł w zasadzkę, został pobity i utracił w dniu 4 listopada 1791 900 ludzi. Następcą jego został zamianowany jen. Wayne, który się w jesieni 1793 udał do ówczesnego terytoryum indyjskiego, przezimował w Greenville, gdzie St. Clair doznał porażki i wybudował tam warownię Fort Recovery. W lecie 1794 pobiegł aż do rzeki Maumee i wybudował warownię Defiance a nad rzeką St. Mary warownię Adams. W dniu 20 sierpnia spotkawszy Indyan, pobił ich tam, gdzie dzisiaj leży miasteczko Maumee, poczem się wrócił na leże

zimowe do Greenville, dokąd Indianie przysłali swych pełnomocników i zawarli pokój, na mocy którego odstąpili Indianie Stanom Zjednoczonym obszar obejmujący dzisiejsze stany Michigan i Indiana.

W kongresie tymczasem począł się budzić duch partyzancki. Hamilton i Jefferson, naczelnicy różnych wydziałów w gabinecie Washingtona byli często różnego zdania w ważnych sprawach publicznych i pod ich przewodnictwem utworzyły się stronnictwa federalistów i republikanów. Pierwsi żądali aby władza bardziej została zcentralizowaną w rękach rządu jeneralnego, drudzy zaś chcieli, aby główna władza pozostała w ręku reprezentantów ludu.

W r. 1792 (1 czerwca) został stan Kentucky przyjęty do związku. — Washington tęsknił za życiem prywatnem i oświadczył, iż porzuci życie publiczne, skoro termin jego urzędowania się skończy. Spostrzegł jednakowoż wnet, że większość ludu życzy, aby pozostał w urzędzie. Przyjął więc znów kandydaturę i został powtórnie wybrany prezydentem; Adams został wybrany wiceprezydentem.

Partya republikańska wzmacniała się tymczasem coraz bardziej. We Francyi srożyła się w ów czas krwawa rewolucya; lud zniósł monarchię, zamordował króla i nowa rzecz-pospolita (a właściwie chaos polityczny) przesłała do Stanów Zjednoczonych posła swego Geneta, który miał się starać o poparcie rzeczypospolitej francuzkiej przez Stany Zjednoczone. Rzeczpospolita francuzka wydała w owym czasie wojnę Anglii, Hiszpanii i Holandyi i potrzebowała pomocy zamorskiej. Republikanie i nawet wielu federalistów, pamiętni na usługi oddane przez Francję podczas wojny rewolucyjnej, przyjęli Geneta otwarcie i ogłosili się za sprawą Francyi.

Lecz Genet pozwalał sobie więcej, jak należało. Nie pytając się o pozwolenie rządu amerykańskiego, uzbrajał w portach Stanów Zjednoczonych okręty, wysyłał je do zabierania okrętów kupieckich mocarstw, z którymi Francya prowadziła wojnę, i niszczenia kolonii tychże w Indjach Zachodnich i Canadzie. Washington dowiedziawszy się o tem, wydał nareszcie proklamacyę, iż Stany Zjednoczone chcą utrzymać zupełną neutralność, lecz Genet nie zważając na to, broił swoje dalej, i usiłował nawet wywołać nieprzyjaźń między Francją i Stanami Zjednoczonymi. Genet został nareszcie odwołany przez rzeczpospolitą francuzką i inny poseł zamianowany na jego miejsce.

(Dalszy ciąg nastąpi).